KEN

FOLLETT

IGŁA

Wstęp

Na początku 1944 roku niemiecki wywiad gromadził coraz więcej informacji na temat olbrzymiej armii stacjonującej w południowo-wschodniej Anglii. Samoloty zwiadowcze przywoziły znad zatoki Wash zdjęcia koszar, lotnisk i okrętów; widziano generała George'a S. Pattona, w charakterystycznych różowych bryczesach, spacerującego ze swoim białym buldogiem; znacząco wzrosła liczba sygnałów radiowych, jakie przesyłały między sobą poszczególne pułki. Wszystko to potwierdzali meldunkami niemieccy szpiedzy działający w Wielkiej Brytanii.

W rzeczywistości nie było tam żadnej armii. Atrapy okrętów wykonano z drewna i gumy, koszary mogły służyć co najwyżej za scenografię do filmu, Patton nie miał pod swoją komendą ani jednego żołnierza, sygnały radiowe nie zawierały żadnych sensownych informacji, a szpiedzy byli podwójnymi agentami.

Wszystko to miało przekonać wroga, że wojska sprzymierzonych zamierzają dokonać inwazji przez Cieśninę Kaletańską, najwęższy odcinek kanału La Manche, by lądowanie w Normandii dało im przewagę zaskoczenia.

Było to przedsięwzięcie zakrojone na ogromną skalę, a jego powodzenie do samego końca wisiało na włosku. W mistyfikacji brały udział dosłownie tysiące ludzi. Gdyby nie

dowiedział się o niej żaden ze szpiegów Hitlera, należałoby to uznać za cud.

Czy byli tam w ogóle jacyś szpiedzy? W owym czasie ludzie uważali, że otaczają ich dywersanci, zwani wówczas piątą kolumną. Po wojnie narodziła się legenda głosząca, że MI5 – brytyjski kontrwywiad – ujęło ich wszystkich jeszcze przed Bożym Narodzeniem 1939 roku. Wydaje się, że w rzeczywistości było ich bardzo niewielu, a MI5 istotnie schwytało niemal wszystkich.

Wystarczyłby tylko jeden...

Dziś wiemy, że Niemcy widzieli to, co mieli zobaczyć we wschodniej Anglii. Wiemy też, że podejrzewali oszustwo. I wiemy, że bardzo starali się odkryć prawdę.

To wszystko należy już do historii, a ja nie odkryłem niczego, co nie trafiłoby już do książek historycznych. Przedstawiona tu opowieść jest fikcją.

Mimo wszystko myślę, że coś podobnego musiało się wydarzyć...

Camberley w hrabstwie Surrey

1

To była najsurowsza zima od czterdziestu pięciu lat. Śnieg odciął od świata wiele angielskich wiosek, lód skuł Tamizę. Któregoś styczniowego dnia pociąg z Glasgow do Londynu przyjechał na dworzec Euston z dwudziestoczterogodzinnym opóźnieniem. Śnieg i obowiązkowe zaciemnienie sprawiły, że jazda samochodem stała się wyjątkowo niebezpieczna: podwoiła się liczba wypadków, a ludzie żartowali, że łatwiej jest przejechać czołgiem przez Linię Zygfryda niż austinem 7 przez plac Piccadilly nocą.

Po srogiej zimie nadeszła piękna wiosna. Balony zaporowe kołysały się majestatycznie na tle błękitnego nieba, a żołnierze na przepustce flirtowali z dziewczynami w sukienkach bez rękawów.

Londyn nie wyglądał na stolicę państwa prowadzącego wojnę. Oczywiście jednak były pewne oznaki, a Henry Faber, który jechał właśnie na rowerze ze stacji Waterloo w stronę Highgate, nie mógł ich nie zauważyć: sterty worków z piaskiem ułożonych przed ważnymi urzędami, schrony w podmiejskich ogrodach, plakaty propagandowe dotyczące ewakuacji i zachowania podczas nalotów. Faber zwracał uwagę na takie rzeczy – był znacznie bardziej spostrzegawczy niż przeciętny pracownik kolei. Kiedy zobaczył tłum dzieci w parkach, od razu się domyślił, że próba ewakuacji

zakończyła się fiaskiem. Zauważył też, że choć paliwo jest racjonowane, po ulicach Londynu jeździ całkiem sporo samochodów; czytał również o nowych modelach aut i motocykli, wprowadzanych na rynek przez firmy motoryzacyjne. Wiedział, jakie znaczenie ma fakt, że tłumy robotników ciągną do fabryk na nocki, choć jeszcze kilka miesięcy wcześniej brakowało pracy dla jednej zmiany. Przede wszystkim jednak śledził ruchy wojsk korzystających z sieci kolejowej Wielkiej Brytanii – wszystkie dokumenty dotyczące tych działań przechodziły przez jego biurko. Można się z nich było sporo dowiedzieć. Nawet i dziś podstemplował plik formularzy wskazujących na to, że armia gromadzi nowe siły ekspedycyjne. Był pewien, że w sumie będą liczyć około stu tysięcy żołnierzy, a ich celem jest Finlandia.

Owszem, nie brakowało oznak wojny, ale w całym tym zamieszaniu było też coś komicznego. W audycjach radiowych wyśmiewano biurokratyczny ton wojennych rozporządzeń, w schronach śpiewano chóralnie wesołe piosenki, a modnisie nosiły maski gazowe w designerskich pojemnikach. Znów używano określenia „dziwna wojna". Wojenna rzeczywistość wydawała się spektakularna i trywialna zarazem, niczym film. Wszystkie alarmy bombowe, bez wyjątku, okazywały się fałszywe.

Faber miał odmienny punkt widzenia – ale nie był też przeciętnym Brytyjczykiem.

Skręcił w Archway Road i pochylił się nieco nad kierownicą roweru, by wjechać na zbocze wzgórza. Jego długie nogi poruszały się niezmordowanie jak tłoki lokomotywy, w równym rytmie. Był bardzo sprawny jak na swoje trzydzieści dziewięć lat, choć pytany o wiek, zazwyczaj kłamał – właściwie na wszelki wypadek kłamał w większości kwestii.

Zaczął się pocić, gdy podjeżdżał do Highgate. Budynek, w którym mieszkał, należał do najwyższych w Londynie – dlatego właśnie zdecydował się tam wprowadzić. Była to ceglana wiktoriańska kamienica stojąca na krańcu szeregu

sześciu podobnych budowli. Wszystkie były wysokie, wąskie i mroczne niczym umysły ludzi, dla których je wzniesiono. Każda miała trzy piętra i sutereny z oddzielnym wejściem dla służby – członkowie angielskiej warstwy średniej w dziewiętnastym wieku domagali się wejścia dla służących, choć wcale ich nie mieli. Faber miał do Anglików cyniczny stosunek.

Kamienica numer sześć należała do pana Harolda Gardena z Garden's Tea and Coffee, małej firmy, która zbankrutowała podczas wielkiego kryzysu. Jako że pan Garden zawsze uważał niewypłacalność za grzech śmiertelny, nie pozostawało mu w tej sytuacji nic innego, jak umrzeć. Kamienicę otrzymała w spadku wdowa, która zobowiązana była przyjąć nowych lokatorów. Właściwie podobała jej się rola gospodyni, choć ze względu na etykietę jej kręgów społecznych musiała udawać, że trochę się tego wstydzi. Faber wynajmował pokój z lukarną na ostatnim piętrze. Mieszkał tam od poniedziałku do piątku i mówił pani Garden, że weekendy spędza u swojej matki w Erith. W rzeczywistości wynajmował inny pokój w Blackheath, u gospodyni, która znała go jako pana Bakera i była przekonana, że jest przedstawicielem handlowym fabryki materiałów papierniczych, w związku z czym przez cały tydzień podróżuje.

Przejechał ścieżką przez ogród, odprowadzany surowym spojrzeniem wysokich okien kamienicy. Wstawił rower do szopy i przypiął go kłódką do kosiarki – prawo wymagało, by każdy pojazd był należycie zabezpieczony. Sadzeniaki w skrzynkach rozstawionych po całej szopie wypuszczały nowe kiełki. Wspierając działania wojenne ojczyzny, pani Garden zamieniła swe rabaty kwiatowe na ogródek warzywny.

Faber wszedł do domu, odłożył kapelusz na wieszak, umył ręce i poszedł na herbatę.

W salonie siedziało już trzech innych lokatorów: pryszczaty młodzieniec w Yorkshire, który próbował dostać się do wojska, mężczyzna w średnim wieku, o jasnych, rzednących

włosach, zajmujący się obwoźną sprzedażą słodyczy, oraz oficer marynarki wojennej w stanie spoczynku, który, zdaniem Fabera, był degeneratem. Faber pozdrowił ich skinieniem głowy i usiadł.

Komiwojażer opowiadał właśnie dowcip.

– Więc dowódca dywizjonu mówi: „Szybko ci poszło!”, a pilot odwraca się do niego i odpowiada: „Tak, zrzuciłem ulotki w paczkach, to chyba nic złego, prawda?”. A dowódca na to: „Dobry Boże, mogłeś zrobić komuś krzywdę!”

Oficer marynarki zarechotał, a Faber uśmiechnął się pod nosem. Do pokoju weszła pani Garden z herbatą na tacy.

– Dobry wieczór, panie Faber. Zaczęliśmy bez pana, mam nadzieję, że się pan nie obraził.

Faber rozsmarował cienką warstwę margaryny na kromce razowego chleba. Przez moment miał ochotę na kawałek tłustej kiełbasy.

– Pani warzywa są już gotowe do sadzenia – poinformował gospodynię.

Faber popijał pospiesznie herbatę. Pozostali toczyli dyskusję o tym, czy Chamberlain powinien odejść i ustąpić miejsca Churchillowi. Pani Garden co jakiś czas wypowiadała swoje zdanie, po czym spoglądała na Fabera, ciekawa jego reakcji. Była nieco otyłą, zaniedbaną kobietą mniej więcej w jego wieku, choć nosiła się jak ktoś o dziesięć lat młodszy. Faber przypuszczał, że szuka sobie nowego męża. Sam nie zabierał głosu w dyskusji.

Pani Garden włączyła radio. Z głośnika dobiegały przez chwilę jakieś szumy i trzaski, potem spiker oznajmił:

– Tu radio BBC. Nadajemy audycję *To znów ten mężczyzna!*

Faber znał to słuchowisko, w którym regularnie pojawiał się niemiecki szpieg o nazwisku Funf. Pożegnał się grzecznie i poszedł do swojego pokoju.

Po zakończeniu audycji pani Garden została sama: oficer marynarki poszedł do pubu z komiwojażerem, a młodzieniec z Yorkshire, który był bardzo pobożny, wybrał się na spotkanie

modlitewne. Gospodyni siedziała w salonie ze szklaneczką ginu w ręce, patrzyła na czarne zasłony na oknach i myślała o panu Faberze. Żałowała, że ten lokator spędza tak dużo czasu w swoim pokoju. Potrzebowała towarzystwa, i to właśnie takiego.

Tego typu rozważania budziły w niej poczucie winy. By udobruchać jakoś sumienie, rozmyślała o byłym mężu. Wspomnienia o panu Gardenie były miłe, ale rozmyte, niczym stary film o porysowanej błonie i niewyraźnym dźwięku. Choć doskonale pamiętała, jak czuła się w jego obecności, choćby w tym salonie, nie mogła wyobrazić sobie jego twarzy, ubrań, które mógłby nosić tego dnia, ani komentarzy, jakie wygłosiłby, słysząc wiadomości z frontu. Był drobnym, eleganckim mężczyzną, który dobrze radził sobie w interesach, gdy dopisywało mu szczęście, i ponosił klęski, kiedy szczęście go omijało. W towarzystwie zachowywał się skromnie, a w łóżku był namiętny i nienasycony. Bardzo go kochała. Jeśli ta wojna kiedyś wreszcie się skończy, wiele kobiet znajdzie się w takiej samej sytuacji jak ona. Ponownie napełniła szklaneczkę.

Pan Faber był niezwykle spokojny i ułożony – na tym właśnie polegał problem. Wydawało się, że nie ma żadnych wad. Nie palił, nigdy nie wyczuła alkoholu w jego oddechu, wieczory spędzał w swoim pokoju, słuchając muzyki klasycznej z radia. Czytał dużo gazet i chodził na długie spacery. Przypuszczała, że jest bardzo inteligentny, zajmował skromne stanowisko; kiedy włączał się do rozmów w salonie, jego uwagi zawsze były nieco wnikliwsze niż opinie pozostałych lokatorów. Z pewnością mógłby dostać lepszą pracę, gdyby tylko zechciał. Wydawało się, że nie daje sobie szansy, na jaką zasługuje.

To samo dotyczyło jego wyglądu: był postawnym, szczupłym, szerokim w barach mężczyzną o długich nogach i umięśnionych ramionach. Miał twarz o silnych, męskich rysach, wysokim czole i wydatnej szczęce, a do tego

jasnoniebieskie oczy; nie była to ugładzona uroda gwiazdy filmowej, ale z pewnością przyciągała uwagę kobiet. Wyjątek stanowiły małe i wąskie usta, które przywodziły na myśl grymas okrucieństwa. Do czego nie byłby zdolny jej mąż.

Mimo to na pierwszy rzut oka pan Faber nie wydawał się szczególnie atrakcyjny. Nie prasował spodni swojego starego znoszonego ubrania – pani Garden chętnie by to dla niego zrobiła, ale nigdy nie poprosił. Do garnituru zawsze nosił sfatygowany płaszcz i kaszkiet. Nie miał wąsów, a włosy przycinał krótko, regularnie co dwa tygodnie. Wydawało się, że po prostu zależy mu na tym, by nie wyróżniać się z tłumu.

Potrzebował kobiety, pani Garden nie miała co do tego wątpliwości. Zastanawiała się przez moment, czy nie jest, jak to mówią ludzie, „zniewieściały", ale szybko odrzuciła to przypuszczenie. Potrzebował żony, która przydałaby mu elegancji i obudziła w nim ambicję. Ona zaś potrzebowała mężczyzny do towarzystwa i do... cóż... do miłości.

A jednak nigdy nie wykonał choćby najmniejszego ruchu w tym kierunku. Czasami miała ochotę krzyczeć ze złości. Była pewna, że jest atrakcyjna. Ponownie napełniła szklaneczkę i spojrzała w lustro. Miała ładną twarz i jasne kręcone włosy, nie brakowało jej też tego, na czym lubią zawiesić oko mężczyźni... Zachichotała pod nosem na tę myśl. Chyba była już trochę wstawiona.

Upiła kolejny łyk ginu i zaczęła się zastanawiać, czy to ona nie powinna wykonać pierwszego ruchu. Pan Faber najwyraźniej był nieśmiały – chronicznie nieśmiały. Nie należał do oziębłych mężczyzn – widziała to w jego oczach dwukrotnie, gdy miał okazję zobaczyć ją tylko w koszuli nocnej. Być może gdyby sama zachowała się nieco odważniej, on zdołałby przezwyciężyć tę nieśmiałość. Co miała do stracenia? Próbowała wyobrazić sobie najgorszy scenariusz, by przekonać się, jakie to uczucie. Załóżmy, że ją odrzuci – cóż, to byłoby krępujące, nawet upokarzające. Boleśnie zraniłoby jej dumę. Ale nie wiedziałby o tym nikt prócz ich

dwojga. A pan Faber musiałby się wyprowadzić.

Myśl o odrzuceniu zniechęciła ją do tego planu. Podniosła się powoli z fotela, myśląc: Ja po prostu nie umiem być nachalna. Zrobiło się już późno. Jeśli w łóżku wypije jeszcze jedną szklaneczkę ginu, uda jej się zasnąć. Zabrała butelkę na górę.

Jej sypialnia znajdowała się pod pokojem pana Fabera. Gdy pani Garden rozbierała się do snu, z góry dochodziła ją muzyka smyczkowa. Włożyła nową koszulę nocną – różową, z haftem wokół dekoltu, a nikt prócz niej nie mógł tego podziwiać! – i zrobiła sobie ostatniego drinka. Zastanawiała się, jak wygląda pan Faber nago. Na pewno miał płaski brzuch i owłosioną klatkę piersiową, pewnie widać mu było żebra, bo był naprawdę szczupły. Musiał też mieć mały tyłek. Pani Faber znów zachichotała, nazywając się w myślach „bezwstydnicą".

Zabrała szklaneczkę do łóżka i sięgnęła po książkę, ale nie mogła skupić się na tekście. Poza tym nudziło ją już czytanie o romansach innych kobiet. Opowieści o niebezpiecznych przygodach miłosnych są wciągające tylko wtedy, gdy sama prowadzisz bezpieczne i ułożone życie u boku męża, ale samotna kobieta potrzebuje czegoś więcej niż historii wymyślonych przez Barbarę Cartland. Pani Garden upiła łyk ginu i pomyślała, że jej lokator mógłby już wyłączyć radio. Równie dobrze mogłaby próbować zasnąć na potańcówce!

Oczywiście miała prawo go poprosić, żeby wyłączył radio. Spojrzała na zegar ustawiony przy łóżku: minęła dziesiąta. Mogłaby włożyć szlafrok, dopasowany kolorem do jej koszuli nocnej, uczesać się trochę, założyć kapcie – całkiem zgrabne, z wzorkiem w róże – wejść piętro wyżej i po prostu zapukać do jego drzwi. Faber otworzy, ubrany, być może, w spodnie i podkoszulek, a potem spojrzy na nią tak jak wtedy, gdy w drodze do łazienki zobaczył ją tylko w koszuli nocnej...

– Stara idiotka – powiedziała głośno. – Szukasz sobie tylko powodu, żeby tam pójść.

W tym momencie zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie potrzebuje pretekstu. Była dojrzałą kobietą, a to był przecież jej dom. Przez ostatnie dziesięć lat nie spotkała odpowiedniego mężczyzny, a chciała w końcu, do diabła, poczuć przy sobie kogoś silnego, twardego i owłosionego, kto ściskałby jej piersi, dyszał jej do ucha i rozsuwałby jej nogi silnymi, szerokimi dłońmi, bo jutro mogą spaść na nich niemieckie bomby gazowe, a wtedy zginą w cierpieniach, krztusząc się i dławiąc, ona zaś straci swą ostatnią szansę.

Opróżniła więc szklaneczkę, wstała z łóżka i włożyła szlafrok. Potem przyczesała nieco włosy, założyła kapcie i zabrała pęk kluczy, na wypadek gdyby drzwi pokoju Fabera były zamknięte, a on nie słyszał jej pukania.

Na korytarzu nie było nikogo. Wypatrzyła w ciemności schody. Chciała przestąpić nad stopniem, który wyjątkowo głośno skrzypiał, potknęła się jednak o brzeg dywanu i opuściła ciężko nogę. Wyglądało na to, że nikt jej nie usłyszał, wyszła więc na górę i zapukała do drzwi. Nacisnęła lekko klamkę. Były zamknięte na klucz.

Radio przycichło, a pan Faber zawołał:

– Tak?!

Miał miły, neutralny głos, pozbawiony londyńskiego akcentu.

– Czy mogłabym zamienić z panem słówko? – spytała.

– Jestem rozebrany – odpowiedział po chwili wahania.

– Ja też. – Zachichotała, po czym otworzyła drzwi zapasowym kluczem. Stał przed radiem z jakimś śrubokrętem w dłoni. Miał na sobie tylko spodnie. Był blady jak ściana i wydawał się śmiertelnie przerażony.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nagle przypomniała sobie kwestię z jakiegoś amerykańskiego filmu i spytała:

– Postawisz drinka samotnej dziewczynie?

To było naprawdę głupie, wiedziała przecież, że Faber nie ma w pokoju nic do picia, a ona nie wyglądała tak, jakby

wybierała się do miasta. Brzmiało jednak drapieżnie.

Wydawało się, że ta zaczepka przyniosła zamierzony efekt. Faber podszedł do niej powoli, w milczeniu. Rzeczywiście, miał włosy na piersiach. Pani Garden zrobiła krok do przodu, a on objął ją wpół. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Kiedy ją pocałował, poruszyła się lekko w jego ramionach, a potem poczuła straszliwy, niewyobrażalny ból w plecach i otworzyła usta do krzyku.

▫ ▫ ▫

Usłyszał, jak potknęła się na schodach. Gdyby poczekała jeszcze chwilkę, schowałby nadajnik do walizki, książki kodowe do szuflady; wtedy nie musiałby jej zabijać. Nim jednak zdołał ukryć dowody, klucz zazgrzytał w zamku. Gdy pani Garden przekroczyła próg pokoju, trzymał już w dłoni sztylet.

Ponieważ przesunęła się lekko w jego ramionach, Faber nie trafił przy pierwszym uderzeniu w serce i musiał wepchnąć jej palce do gardła, by stłumić krzyk. Uderzył ponownie, ale i ona znów się poruszyła, więc ostrze ześlizgnęło się z żebra, przecinając jedynie skórę. Z przebitej klatki piersiowej tryskała krew, a Faber wiedział już, że nie będzie to czyste, fachowe zabójstwo – sprawa zawsze się komplikowała, jeśli nie trafiłeś idealnie za pierwszym razem.

Szamotała się teraz zbyt mocno, by można ją było zabić pchnięciem. Wciąż wpychając palce w jej usta, przytrzymał żuchwę kobiety kciukiem i pchnął ją mocno. Uderzyła głową w drewniane drzwi. Żałował teraz, że ściszył radio, ale skąd miał wiedzieć, że dojdzie do czegoś podobnego?

Zawahał się przed zadaniem ostatecznego ciosu, bo byłoby o wiele lepiej, gdyby pani Garden umarła na łóżku – to ułatwiłoby mistyfikację, którą zaczął już planować – ale nie wiedział, czy zawlekłby ją tak daleko, nie czyniąc hałasu. Zacisnął mocniej dłoń na jej żuchwie, przytrzymał nieruchomo głowę i zamachnął się szeroko sztyletem, wyrywając ofierze

większą część gardła. Sztylet nie nadawał się do zadawania tego rodzaju ciosów, a Faber wolał zwykle atakować inne części ciała.

Odskoczył w ułamku sekundy do tyłu przed tryskającą gwałtownie krwią, po czym ponownie zrobił krok do przodu, by złapać upadające ciało. Przeciągnął kobietę na łóżko i ułożył ją tam, starając się przy tym nie patrzeć na jej gardło.

Zabijał już wcześniej, wiedział więc, jakiej reakcji powinien teraz oczekiwać. Nadchodziła zawsze w chwili, gdy czuł się już bezpiecznie. Podszedł do zlewu w rogu pokoju i czekał. Widział swoją twarz w małym lusterku do golenia. Była biała, jego oczy wydawały się nienaturalnie szeroko otwarte. Spojrzał na siebie i pomyślał: Morderca. Potem zwymiotował.

Kiedy było już po wszystkim, poczuł się znacznie lepiej. Teraz mógł zabrać się do pracy. Wiedział, co musi zrobić: obmyślił szczegóły, kiedy ją szlachtował.

Umył twarz, wyczyścił zęby i wyszorował umywalkę. Potem usiadł przy stoliku obok radiostacji. Spojrzał na notes, odszukał właściwe miejsce i zaczął nadawać. To była długa wiadomość, dotycząca gromadzenia wojsk, które miały trafić do Finlandii – był już w połowie, gdy mu przeszkodzono. Wiadomość opatrzył podpisem „Pozdrowienia dla Williego”.

Nadajnik pasował idealnie do specjalnie dla niego zaprojektowanej walizki. Do drugiej walizki Faber spakował resztę swoich rzeczy. Zdjął spodnie, zmył gąbką plamy krwi, a potem umył się cały.

W końcu spojrzał na zwłoki.

Teraz mógł już podejść do tego spokojnie. Trwała wojna, zewsząd otaczali go wrogowie: gdyby jej nie zabił, doprowadziłaby do jego śmierci. Stanowiła zagrożenie, a teraz czuł jedynie ulgę, że zagrożenie zostało wyeliminowane. Nie powinna go była tak wystraszyć.

Niemniej jednak czekało go tu jeszcze odrażające zadanie. Rozchylił jej szlafrok i podsunął koszulę nocną w górę, do pasa. Miała na sobie majtki. Rozerwał je tak, by było widać

włosy łonowe. Biedaczka – chciała go tylko uwieść. Nie zdołałby jednak wyprowadzić jej z pokoju tak, by nie zauważyła radiostacji; brytyjska propaganda do absurdalnego wręcz stopnia wyczulała swoich obywateli na szpiegów: gdyby Abwehra miała tylu szpiegów, o ilu pisano w tutejszych gazetach, Wielka Brytania już dawno przegrałaby wojnę.

Cofnął się o krok, przekrzywił głowę i przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu. Czegoś tu brakowało. Starał się myśleć jak maniak seksualny. Gdybym chorobliwie pożądał kobiety takiej jak Una Garden i zabiłbym, by potem móc robić z nią, co tylko zechcę, czego na pewno bym sobie nie odpuścił?

Oczywiście: taki szaleniec chciałby spojrzeć na jej piersi. Faber pochylił się nad ciałem, zacisnął dłonie na dekolcie koszuli nocnej i rozerwał ją aż do pępka. Jej duże piersi zwieszały się na bok.

Policyjny lekarz z pewnością odkryje, że nie została zgwałcona, ale, zdaniem Fabera, nie miało to większego znaczenia. Skończył szkolenie kryminalistyczne w Heidelbergu i wiedział, że wiele napaści seksualnych nie kończy się stosunkiem. Poza tym nie byłby w stanie tego zrobić, nawet dla Ojczyzny. Nie był esesmanem. Niektórzy z nich ustawiliby się pewnie w kolejce, by zgwałcić trupa... Odsunął od siebie tę myśl.

Umył ponownie ręce i ubrał się. Dochodziła już północ. Pomyślał, że poczeka i wyjdzie dopiero za godzinę. Wtedy będzie bezpieczniej.

Usiadł, by przeanalizować tę sytuację i zastanowić się nad jej przyczynami.

Bez wątpienia popełnił gdzieś błąd. Gdyby zadbał o wszystko, byłby całkiem bezpieczny. Gdyby był całkiem bezpieczny, nikt nie odkryłby jego tajemnicy. Pani Garden poznała jego sekret – a właściwie poznałaby, gdyby żyła kilka sekund dłużej – więc nie był całkiem bezpieczny, więc nie zadbał o wszystko, więc popełnił błąd.

Powinien był zamontować na drzwiach zasuwę. Lepiej

uchodzić za chorobliwie nieśmiałego, niż martwić się, że do pokoju może w każdej chwili wejść gospodyni w koszuli nocnej, z zapasowym kluczem w ręku.

To był mniejszy błąd, skutek błędu poważniejszego, polegającego na tym, że Faber był zbyt atrakcyjną partią, by pozostawać kawalerem. Myślał o tym z irytacją, a nie pychą. Wiedział, że jest miłym, przystojnym mężczyzną i że nie istnieje żaden oczywisty powód, dla którego miałby stronić od kobiet i małżeństwa. Musiał wymyślić coś, co tłumaczyłoby taki stan rzeczy i nie prowokowało różnych pań Garden tego świata do zalotów.

Powinien znaleźć taki powód w swojej prawdziwej osobowości. Dlaczego właściwie był sam? Skrzywił się z niechęcią, pomyślał o tym, że nie lubi luster. Odpowiedź była oczywista: Był sam ze względu na swoją profesję. Jeśli kryły się za tym jakieś inne, poważniejsze powody, wolał ich nie znać.

Będzie musiał spędzić noc na dworze. Highgate Wood będzie odpowiedni. Rano zaniesie walizki do przechowalni bagażu na dworcu kolejowym, a wieczorem pojedzie do swojej kwatery w Blackheath.

Na razie będzie korzystał jedynie ze swojej drugiej tożsamości. Nie obawiał się policji. Komiwojażer, który w weekendy wynajmował pokój w Blackheath, w niczym nie przypominał urzędnika kolei, który zamordował swoją gospodynię. Mężczyzna z Blackheath był hałaśliwy, wulgarny i zarozumiały. Nosił krzykliwe krawaty, pił jak szewc i czesał się zupełnie inaczej niż Faber. Policja opisze w liście gończym zahukanego zboczeńca, który nie zabije nawet muchy, dopóki chuć nie odbierze mu rozumu, nikt więc nie będzie go kojarzył z przystojnym komiwojażerem w prążkowanym garniturze, który bez wątpienia nie hamował swoich żądz i nie musiał zabijać kobiet, by zobaczyć ich piersi.

Będzie trzeba stworzyć nową tożsamość – zawsze posługiwał się co najmniej dwiema. Potrzebował nowej pracy

i nowych dokumentów – paszportu, dowodu tożsamości, kartek na żywność, świadectwa urodzenia. Wszystko wiązało się ze sporym ryzykiem. Cholerna pani Garden. Dlaczego nie mogła się po prostu upić i zasnąć, jak miała w zwyczaju?

Była pierwsza w nocy. Faber rozejrzał się po pokoju. Nie przejmował się śladami zbrodni – jego odciski palców były wszędzie, a nikt nie będzie miał wątpliwości co do tożsamości zabójcy. Nie czuł też szczególnej więzi z miejscem, które przez ostatnie dwa lata było jego kwaterą – nigdy nie myślał o nim jako o domu. Właściwie nie miał na świecie przystani, którą tak właśnie by traktował.

Ten pokój pozostanie w jego pamięci jako miejsce, gdzie nauczył się, że należy montować na drzwiach zasuwę.

Zgasił światło, podniósł walizki, zszedł na dół i zniknął w ciemnościach nocy.

2

Henryk II był niezwykłym władcą. W czasach gdy nie istniało jeszcze pojęcie „krótkiej wizyty państwowej", przemieszczał się między Francją i Anglią tak szybko, że przypisywano mu magiczną moc, czemu król oczywiście nie zaprzeczał. W roku 1173 – w czerwcu lub wrześniu, zależnie od tego, któremu ze źródeł chcemy wierzyć – przybył do Anglii i wyjechał z powrotem do Francji tak szybko, że nie dowiedział się o tym żaden ze współczesnych mu kronikarzy. Dopiero wiele lat później historycy odkryli w archiwum państwowym opis wydatków przeznaczonych na tę podróż. W tym czasie synowie króla atakowali jego państwo od północy i południa, zza szkockiej granicy i z Francji. Co właściwie było celem tej błyskawicznej wizyty? Z kim się spotkał? Dlaczego cała rzecz została utajniona, choć mit dotyczący jego magicznej prędkości wart był więcej niż cała armia? Co dzięki temu osiągnął?

Te pytania dręczyły Percivala Godlimana latem 1940 roku, gdy armie Hitlera w błyskawicznym tempie zajmowały Francję, a Brytyjczycy w pośpiechu i chaosie przeciskali się przez wąskie gardło Dunkierki.

Na całym świecie nie było nikogo, kto wiedziałby o średniowieczu więcej niż profesor Godliman. Jego książka o Czarnej Śmierci przewróciła do góry nogami wszystkie

dotychczasowe wyobrażenia i stereotypy dotyczące wieków średnich – była też bestsellerem i została wydana w popularnej serii Pingwina. Podbudowany tym sukcesem profesor zajął się jeszcze wcześniejszym i jeszcze mniej znanym okresem historii.

O dwunastej trzydzieści, w piękny czerwcowy dzień w Londynie, sekretarka zastała Godlimana pochylonego nad iluminowanym manuskryptem, pochłoniętego przekładaniem tekstu na angielski i sporządzaniem notatek, które ze względu na charakter jego pisma wydawały się jeszcze mniej czytelne niż średniowieczna łacina. Sekretarka, która zamierzała zjeść lunch w ogrodzie przy Gordon Square, nie lubiła sali manuskryptów, bo zawsze unosił się tutaj zatęchły trupi zapach. Żeby się tu dostać, trzeba było użyć tylu kluczy, że równie dobrze mógłby to rzeczywiście być grobowiec.

Godliman stał przy pulpicie na jednej nodze, niczym ptak. Oświetlony nikłym blaskiem wpadającym przez małe okienko, wyglądał jak duch mnicha, który napisał tę księgę, a teraz pełnił przy niej straż. Dziewczyna odchrząknęła głośno i poczekała, aż naukowiec ją zauważy. Profesor był niskim, pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną o przygarbionych plecach, ubranym zwykle w tweedowy garnitur. Jak większość jego kolegów po fachu miał słaby wzrok. Sekretarka wiedziała, że potrafi być bardzo miły i rozsądny, gdy tylko wyciągnie się go z otchłani średniowiecza. Odchrząknęła i odezwała się:

– Profesorze Godliman?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się na jej widok. Teraz nie przypominał już ducha, wyglądał raczej jak lekko zbzikowany tatulek.

– Dzień dobry! – powiedział zdumionym tonem, jakby spotkał właśnie swojego sąsiada na środku Sahary.

– Prosił pan, żebym przypomniała, że jest pan umówiony na lunch w Savoyu z pułkownikiem Terrym.

– Och, tak. – Wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i spojrzał na niego. – Jeśli mam zdążyć tam na piechotę, to

powinienem już chyba wychodzić.

Skinęła głową.

– Przyniosłam panu maskę gazową.

– Co ja bym bez ciebie zrobił! – Uśmiechnął się ponownie, a sekretarka doszła do wniosku, że wygląda całkiem ładnie. Wziął od niej maskę i spytał: – Będę potrzebował płaszcza?

– Rano pan go nie wkładał. Jest dosyć ciepło. Mam tu wszystko pozamykać?

– O tak, dziękuję bardzo, dziękuję. – Wcisnął notatnik do kieszeni marynarki i wyszedł.

Sekretarka rozejrzała się, wzdrygnęła i ruszyła jego śladem.

▫ ▫ ▫

Pułkownik Andrew Terry był ogorzałym Szkotem o ciemnoblond włosach, rzednących i wysmarowanych obficie brylantyną. Przez całe dorosłe życie palił jak smok i z tego zapewne powodu wciąż był chudy jak szczapa. Godliman znalazł go w restauracji Savoy Grill, przy stoliku w rogu sali. Pułkownik był w cywilnym ubraniu. W popielniczce leżały już trzy niedopałki papierosów. Wstał i podał rękę profesorowi.

– Dzień dobry, wujku Andrew – powiedział Godliman. Terry był młodszym bratem jego matki.

– Jak się miewasz, Percy?

– Piszę książkę o Plantagenetach. – Godliman usiadł przy stoliku.

– Twoje manuskrypty ciągle są w Londynie? Dziwne...

– Dlaczego?

Terry zapalił następnego papierosa.

– Przenieś je gdzieś na prowincję, na wypadek bombardowania.

– Naprawdę powinienem?

– Połowę Galerii Narodowej upchnięto w jakimś wielkim wyrobisku, gdzieś w Walii. Młody Kenneth Clark działa szybciej niż ty. Może nie byłoby głupio, gdybyś ty też się stąd wyniósł. Pewnie nie zostało ci zbyt wielu studentów, co?